

doskonale obserwować, przygotowałem dla pani szkła, czy zechce pani obaczyć?

— Bardzo chętnie, — wstała i wraz z doktorem skierowali się ku wyjściu.

— Mars jest tylko pozorem, — mówił doktor poważnie, — chciałem zawiadomić panią, że otrzymałem depeszę.

— Depesza! Do mnie? Do nas? — spytała zaniepokojona.

— Tak jest. Nic przerażającego, niech się pani nie boi.

— Kto telegrafuje?

— Doktor.

— Ojciec chory? — Śmiertelnie? — stanęła przerażona.

— Niel! Złamał rękę, spadając z konia i pragnąłby powrotu pań.

— Czy napewno tylko ręka? — niedowierzala.

— Chodźmy bliżej światła, przeczyta pani depeszę.

Z drżeniem i obawą wzięła papier fatalny do ręki, nie mogła się bowiem opędzić myśli, że doktor chciał ją przygotować do większego ciosu, mówiąc od siebie tylko o złamaniu ręki. Rozwinęła papier i powstrzymując drżenie ręki, odczytała:

„Łacki, padając z płochliwego konia, złamał prawą rękę, żąda przyjazdu żony i córki. Doktor Byszczewski“.

Odetchnęła; zdawało się jej, że uniknęła większego nieszczęścia, wobec którego złamanie ręki było przykrością do zniesienia. Oddała depeszę, mówiąc:

— A co teraz?

— Trzeba panią Łacką przygotować na otrzymanie fatalnej wiadomości.

— To wiem, ale jak?

— Chciałem dzisiaj ją uwiadomić, ale ponieważ i tak dzisiaj nie możecie panie jechać, będzie lepiej, gdy tę noc przepędzi spokojnie.

— I ja tak myślę.

— Jutro rano wyjdzie pani z pokoju wcześniej, a wróciwszy, powie pani, że otrzymałem od znajomego list, w którym mi donosi, że jakiś pan Łacki złamał rękę. Spytałem o tego pana Łackiego panią, a pani poleciła mi wysłanie depeszy... W kilka godzin później przedłożę pani Łackiej depeszę dzisiaj otrzymaną. Czy zgadza się pani?

— Zdaje mi się, że tak będzie najlepiej... Dziękuję panu doktorowi.

— Niech tylko pani nie da poznać po sobie, a dla upozorowania choćmy zobaczyć Marsa.

Podeszli do otwartego balkonu, a doktor podając lunetę, wskazał jasno świecącą, czerwoną gwiazdę.

— To jest planeta Mars, posiada prawie taką atmosferę, jak ziemia, tylko, że ona na Marsie jest bardziej przezroczysta i rzadka.

Ryta przez grzeczność słuchała, ale Mars wcale jej nie zajmował, co spostrzegł doktor i umiął, zaś Ryta popatrzywszy czas jakiś przez lunetę, odłożyła ją, mówiąc bardzo uprzejmie:

— Dziękuję panu doktorowi, Mars jest istotnie piękny.

Szła w stronę salonu smutna i przygnębiona. W mózgu tej uwięzła jedna myśl: jadę... muszę jechać... odjeżdżam!

Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego wyjazd sprawia jej tak wielką przykrość, ale czuła, że pogrąży się w jakąś nieznana ciemność, a rzuca światłość i spokój. Mamie było tu dobrze, a teraz stan jej może się pogorszyć, myślała nad tem, ale półświadczenie zdawała sobie sprawę, że obawa o matkę nie jest przyczyną jej przygnębienia i żalu. Tu było zacisznie, zdala od kłopotów codziennego życia, od stykania się z gospodarstwem, klucznicą, kucharzem, służbą i od tej jednostajności wiejskiej, przerywanej wyjazdem do kościoła i na obowiązkowe i nudne wizyty, lub przyjmowanie gości obojętnych. Gdy przed oczyma przesunął się jej błyskawicznie obraz życia na zapadłej wsi, doznała pewnej lekkiej ulgi, że ma za czem żałować, wyjeżdżając z Zakopanego.

Jaka jednak egoistka ze mnie, myślała, przecież matka i ojciec tyle lat tak żyją, a tylko mnie trzeba wygód, dogadzania swemu lenistwu, tylko ja chcę uciec od zwykłych, codziennych obowiązków.

Lecz czy istotnie tak mi żal warunków tego życia tutaj? I znów poczuła, że ludzi sama siebie.

Nagle, niewiedomo skąd i jak, stanął przed oczyma jej duszy Borowiecki. Ogarnęła ją gorąca fala wspomnień o nim, a sny i marzenia obsiadły ją rojem. Nie było w tym jednostronnym romansie nic złego, nic zdrożnego, a jednak cała oblała się purpurą.

Teraz dopiero zrozumiała, że jej przygnębienie i żal, to następstwa rozłączenia się z nim, może na zawsze. Dotychczas bowiem, gdzieś w głębi najtajniejszej tliła iskra nadziei, że przyjedzie mąż Wandy, że zabierze ją i że Borowiecki zostanie sam i zwróci się do niej, gdyż z całego towarzystwa wyróżniał tylko Wandę i ją. Wanda może ma więcej wdzięku, wykwin-



— Bo pani młoda i niedoświadczona, — uśmiechnęła się pobłażliwie pani Porecka.

niejsza w ubiorze, może ma umysł subtelniejszy, bardziej wyrobiony, ale ona kochać nie potrafi, tak łatwo zapomniła o mężu, tak mało ma poczucia obowiązków. że ledwie, nieledwie wspomni o dziecku, o domu swym. Dobrze, że ona jest zameżna, bo on byłby z nią nieszczęśliwy. On taki szlachetny, mądry, taki uzdolniony, taki szczery i dobry, a połączyłby się z kobietą kapryśną, zmienną, lubiącą się podobać i rozrzuć, wspomniła na jej batystową bieliznę, na buciki, pantofelki, stroje rozmaite, kapelusze, koronki, pióra...

Jadę i nie zobaczę go już nigdy!... nigdy! Uczuła ból niemal fizyczny i ogarnął ją głęboki żal, że to jej pierwsze w życiu uczucie zostanie pogrzebane na zawsze!

Dopiero widok matki i towarzystwa otrzeźwił ją. W tej samej chwili ujrzała ojca cierpiącego, i widziała twarz jego zmęczoną, zbolaną i jego oczy pocziwie szukały kogoś, ażeby przemówił ten ktoś jedno dobre słowo. Poczuła łzy w oczach, automatycznie zbliżyła się, usiadła, nie patrząc na nikogo.

— Cóż, widziała pani Marsa? — spytała pani Mniewska, — czytałam powieść o ludziach z tej

planety, bardzo ciekawa. W jednej chwili zdobyli Anglię, a żywili się krwią ludzką.

— A ja czytałam inną, — odezwała się Madzia, — były to przygody człowieka ziemskiego na Marsie.

— Wszystko to są fantazyje bez żadnych realnych podstaw, — rzekł pan Jedliński, — najmniejsza odległość Marsa od ziemi wynosi pięćdziesiąt pięć milionów kilometrów, a średnia odległość siedmdziesiąt ośm milionów, a w takiej odległości można zaledwie rozróżnić jaśniejsze i ciemniejsze plamy i domyślać się, że są to morza, góry, lądy, ale nic więcej.

— Ja zaś wolę wierzyć, — powiedziała pani Łacka, że na gwiazdach żyją ludzie, doskonalsi od nas i po śmierci tutaj, przechodzimy na gwiazdy. Tam odnajdziemy naszych ukochanych.

— Wierzyć można we wszystko, nawet w miłość bezinteresowną, — zaśmiał się pan Jedliński.

— Zaraz poznać, że pan mężczyzna, — rzekła surowo pani Łacka, — my, kobiety, kochamy bezinteresownie. Weźmy miłość do dziecka, jaki w tem interes?

— Kocha się siebie w dziecku, i o ile to dziecko nie jest moim obrazem, nie kocham go.

— Pan nie rozumie miłości, — sponsepniała pani Łacka i umilkła.

W tej chwili zbliżył się pan Borowiecki i usiadł na krześle obok Ryty.

— Kobieta kochając, — powiedziała pani Porecka z niezwykłą godnością, — pragnie tylko szczęścia ukochanej osoby, zawsze gotowa do poświęceń osobistych. Tak mnie wychowano, tak wychowałam córkę.

— A tak, tak, — śmiał się pan Jedliński, — już Fredro powiedział, że żona zawsze się poświęca, nieproszona i niedziękowana.

— Koncepty pana, czy Fredry, w niczem nie zmienia istoty rzeczy, — powiedziała Porecka z wielką słodyczą, — i zawsze kobieta kocha szlachetniej od mężczyzny, co przyzna każdy bezstronny.

— A pan, co sądzi, — zwróciła się Ryta do pana Borowieckiego, — kto kocha szczerzej, głębiej i bezinteresowniej, kobieta, czy mężczyzna? — zarumieniła się, wydało się jej bowiem po wymówieniu tego pytania, że zdradziła niem swą tajemnicę.

— Zdaje mi się, że podział miłości na gatunek żeński i męski nie wytrzymuje krytyki, — odpowiedział spokojnie.

— O, przepraszam! — zawołała pani Porecka, — kobieta, jako wrażliwsza i subtelniejsza, kocha inaczej.

— To pytanie, — zaśmiał się Borowiecki, — czy Marysia dojąca krowy odczuwa subtelniej i jest wrażliwsza, aniżeli ja, lub pan Jedliński, albo pan Szarocki.

— Ja mówię o kobietach naszej sfery, — poczerwieniała z gniewu, — nie o Maryśkach.

— Ach, tak! Wtedy kupcy kochają inaczej, szlachta inaczej, urzędnicy znów inaczej i naturalnie tak samo ich żony i córki. Miłość jest jedna i jedyna, jak jedna ziemia, jedna prawda, jedna cnota. W miłości, — mówił podniecony, — niema: tyś gorszy, ja lepszy; tyś niższy, ja wyższy, wszystko zaczyna się i kończy słowami: kocham cię! jest to zaprzepaszczenie swej indywidualności aż do unicestwienia. I taka miłość, mojem zdaniem, jest coś warta, a inne są tylko handelem od wypadku do wypadku.

— To są fantazyje, jak o ludziach z Marsa, — zaśmiała się drwiąco pani Porecka, — a pan, czy kochał tak kiedy? Ja przynajmniej się szczerze, nie kochałam w ten sposób, a jednak mam to przekonanie, że umiem kochać szczerze.

— A ja, odezwała się nagle Ryta, — rozumiem tylko taką miłość, jak ta, o której pan Borowiecki mówił.

— Bo pani młoda i niedoświadczona, — uśmiechnęła się pobłażliwie pani Porecka.

ciąg dalszy nastąpi.